TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"		DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"	
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie	$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi	2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 25. *Chicago, Ills., 17 Grudnia, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA JMĆ PANA WITA NARWOJA,

ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 – 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

Dotąd mi się serce żalem ściska, kiedy sobie wspomnę na ową boleść, a desperacyę, a srogą katuszę biednego Aksamickiego. Zmienił się do niepoznania, twarz mu wychudła i jakoby biała chusta pobladła, oczy strasznie się zapadły a ogniem się takim paliły, jakby w obłąkaniu lub gorączce. Siedział przy zmarłej, słówka do nikogo nie mówiąc, jakby nic nie widział do koła. Nieruchomy a jakby martwy patrzył ciągle w nadobną twarz swej panny, której śmierć urody nie odjęła, wdzięczność słodką zostawując na białem licu. Myśmy go koniecznie od umarłej wywieść chcieli, gwałtem go z sobą biorąc, ale się nie dał ruszyć i z wściekłością prawie a z siłą okrutną od siebie nas odpychał.

Dusza się nam w żałości onej krajała a rady żadnej dać nie mogliśmy, więc zostawiliśmy go przy zwłokach, Panu Bogu to zostawując, aby go w tym srogim smutku pociechą niebieską pokrzepił. Kiedy wróciłem do domu, chodziłem tam i sam po izbie w serdecznej affli-

kcyi, i świat mi nie był miły. Przyszła noc, ale spać nie mogłem, bo ciągle mi stał przed oczyma nieszczęśliwy mój kamrat i przyjaciel. Długo tak leżałem, rzewnie rozmyślając, i po północy już było. Nagle słyszę stukanie silne do drzwi moich i głosy proszące, abym zaraz otwierał. Porwałem się natychmiast, i z wielkiem zdziwieniem ujrzałem w progu pana generała Korytowskiego i starego Wartanowicza, ojca owej zmarłej panny.

— Mości rotmistrzu, — ozwał się pan generał — przychodzimy tu w srogim kłopocie do Waćpana. Aksamicki snać w demencyą raptownie wpadłszy, właśnie przed godziną zwłoki swej zmarłej narzeczonej porwał i znikł bez śladu!

Krzyknąłem tylko z przerażenia, tak mi ta wiadomość zdała się okropną.

— Bierz Waćpan swych ludzi — mówił dalej pan generał — choćby wszystkich, pozwalam ci larum uderzyć, i roześlej na wszystkie strony, aby szaleńca schwytać!

W jednej chwili byłem w mundurze i wybiegłem wraz z starym Wartanowiczem na rynek, gdzie hauptwach był, w którym właśnie tej nocy dragoni moi straż trzymali pod komendą Zawejdy. Po drodze dowiedziałem się od nieszczęśliwego ojca, że gdy on z matką w nocy na chwilę zwłoki swej córki opuścili, Aksamicki oddaliwszy pod jakimś pozorem niewiastę czuwającą przy katafalku, ciało uniósł z sobą...

Kazałem wszystkim ludziom, co byli na hauptwachu ruszyć za mną, Zawejdzie zaś wydałem ordynans, aby werbel bić kazał a patrole konne i piesze na wszystkie strony rozesłał. Wpadłem natychmiast na myśl, że Aksamicki z ciałem zmarłej swej panny nie dokąd indziej, jak tylko do kwatery Zapatana mógł pobiedz, zostawiając tedy strapionego starca pod opieką dwóch pocztowych, sam na koń się rzuciłem i z ludźmi popędziłem wprost ku stryjskiemu przedmieściu, w stronę pałacu ks. Jabłonowskiego, za którym znajdował się ów stary opuszczony cekauz, wynajęty przez nieznajomego cudzoziemca.

Jakoż ledwie dopadłem kościołka OO. Misyonarzy, ujrzałem koło pałacu Jabłonowskich postać biednego Aksamickiego. Bieżał szybko trzymając oburącz ciało swej narzeczonej... Księżyc nadzwyczaj jasno świecił, więc też mogłem go widzieć dobrze choć z daleka. Dziwny to był i straszny widok, i nie zapomnę go chyba do śmierci. Długa biała sukienka, w którą ustrojono ciało biednej dzieweczki, spływała na ziemię i długim swym ruchem wlokła się za stopami Aksamickiego, welon ślubny powiewał na wietrze nocnym, włosy jej bujne i czarne także igrały z wiatrem lub spadały na białe zastygłe liczka...

Aksamicki po za pałacem skręcił na lewo i począł się piąć na górę z swojem smutnem brzemieniem, a ja widząc go już tak blizko, zsiadłem z konia i dwom dragonom także zsiąść i iść za sobą kazałem. Nie spieszyłem się już, by go co rychlej dopędzić, bo otwarcie przyznam, żem się bał tego spotkania. Trwoga mnie jakowaś serdeczna zbierała przed widokiem nieszczęsnego towarzysza, przed jego boleścią a srogim żalem i desperacyą. Łzy mi w oczach stawały i zapomniałem, żem żołnierz. Puściłem go naprzód, na oku go tylko wciąż trzymając, bo nie wiedziałem, jak się zbliżyć do niego, co mu rzec, jak go pocieszyć, jak go opamiętać, a już najbardziej, jak mu odebrać zwłoki zmarłej panienki, którą jak skarb drogi cisnął w swych ramionach?...

Tak tedy powoli i z krwawem sercem szedłem ja za nim na tę górę, ku owemu cekauzowi, w którym ten przeklęty Włoszyn czy Niemiec mieszkał. Aksamicki szybko podbiegł ku domostwu, płaszcz swój zrzucił, na ziemię go rozesłał i na nim ciało panny położył. Potem do drzwi pukać i wołać głośno począł. Ale domostwo widocznie było puste, albowiem okiennice żelazne zamknięte były a z żadnej szczeliny nie widać było światła i nikt się na to wołanie Aksamickiego nie odzywał.

Zbliżyłem się teraz z moimi ludźmi do Aksamickiego i stanąłem za jego plecyma, ale on nic snać nie słyszał, ani nas nie widział, bo się nie oglądnął nawet, a ciągle z okrutną siłą do drzwi się dobijał i wielkim głosem o wpuszczenie wołał. Kapelusza nie miał na głowie, blady był tak prawie, jak zmarła panna jego, a w oczach mu widać było i wściekłość i obłąkanie i jakoby grozę jakąś straszliwą. Pukając ciągle to pięścią to rękojęścią szpady z impetem szalonym, krzyczał jakieś dziwaczne, niezrozumiałe słowa, z których tylko kilka w pamięć mi się wbiło...

— Otwórz, otwórz, wołam cię, błagam cię, przybywaj! Oddaj mi jej życie, boś ją zabił,

przeklęty! — wołał Aksamicki głosem straszliwym, aż się poblizkie pagórki echem odzywały. — Na nasze *pactum* cię wołam i zaklinam, otwórz! Na twego mistrza cię wołam, ozów się! *In nomine Tetragrammaton Adonay, Tetragrammaton Elohim, Tetragrammaton Sabaoth, Apyruch, Exbranor!* Otwórz mi, ratuj mnie, wskrześ ją!

I znowu łoskot ogromny czynić począł, ale nikt mu nie odpowiadał, chyba głuche echo, co się odzywało z domostwa, jakby urągając nieszczęśliwemu.

— Zapatan! Zapatan! Zapatam! — wołał dalej ochrzypłym od wielkiego wysiłku głosem Aksamicki. — Na siedmiu wodzów siedmiu zastępów cię wołam, otwórz mi, przybywaj, przybywaj! Niechaj cię zmusi Oriphiel, Magriel, Chärariel, przybywaj! Jesael! przybywaj! Na siedmiu książąt piekielnych, wołam cię, Zapatan, przybywaj! Na Elestora cię wołam, przybywaj! Na Reschina, na Irimoda cię wołam, przybywaj! Na Bescharada i Clanucha! przybywaj!!

Nie mogłem już dłużej patrzeć na opłakanego szaleńca, i zreflektować go chcąc, położyłem mu łagodnie rękę na ramieniu. On się porwał nagle, obejrzał się, popatrzył na nas strasznem i nieprzytomnem okiem, a naraz krzyk srogi czyniąc, twarz sobie zakrył dłońmi i jakoby w szalonym przestrachu uciekać począł, okrutnym pędem spuszczając się z góry ku miastu...

Posłałem dwóch dragonów, by za nim biegli, gwałtu mu żadnego nie czyniąc, ale na oku go mając, aby sobie co złego nie wyrządził — a sam z pozostałemi żołnierzami wziąłem zwłoki zmarłej dzieweczki, a włosy jej z twarzy odsunąwszy, i wianuszek, co był spadł, znowu na skronie zimne wyłożywszy, na onym płaszczu ku miastu ją niosłem. Spotkaliśmy się niebawem z drugą gromadką żołnierzy, z którymi był stary Wartanowicz, i tak strapionemu ojcu zwłoki oddałem, żołnierzom pod najsroższym rygorem nakazując, aby o wszystkiem, co widzieli i słyszeli, ani słówka przed nim nie mówili.

Wróciłem na hauptwach do ratusza, a zdawało mi się ciągle, że nie na jawie ale we śnie ciężkim zostaję. Na hauptwachu czekałem, aż wrócą dragoni, którzy za biednym Aksamickim pobiegli i wkrótce też ujrzałem ich, ale samych. Opowiedzieli mi, że Aksamicki biegł ciągle przez miasto, znaki krzyża św. czyniąc i Matki Najświętszej wzywając przeciw jakowymś marom piekielnym, co go niby ścigały; że im się wziąć nie dał, ale ku Piaskowej górze biegł. Koło klasztoru OO. Karmelitów zatrzymał się nagle, wbiegł na górę i uchwyciwszy za dzwonek, dzwonić począł gwałtownie. Wybiegli wystraszeni Ojcowie, a on ich błagać począł, by go przed złemi duchami w obronę wzięli, i prosił o przytułek i spowiednika. Wzięto go tedy do klasztoru i tam pozostał. Byłem tedy już spokojniejszym o nieszczęsnego opętańca, bo widocznie umysł jego w ciemności szaleństwa popadł. Już na doświtku wróciłem do domu i padłem znużony na łoże, aby odpocząć nieco po straszliwościach tej nocy...

Nazajutrz poszedłem zaraz do klasztoru OO. Karmelitów, aby Aksamickiego odwiedzić, ale zastałem go bez przytomności i w gorączce. Opowiadano mi, że się był uspokoił i przytomność uzyskał, że się wyspowiadał z wielką skruchą i Przenajświętszy Sakrament przyjął, ale potem znowu w gorączkę wpadł i dotąd w niej pozostaje. Z majaczenia jego bo ciągle, w malignie bez składu coś mówił, domyśleć się można było, że w one gusła nieczyste i czarodziejstwa jakieś szpetne wciągnął był i nieszczęśliwą narzeczoną swoją — ale jak to wszystko się działo, to pozostało tajemnicą na zawsze. Wykryło się wprawdzie później, bo się przyznała do tego stara służąca zmarłej panny, która niegdyś była jej piastunką, że razu jednego Aksamicki wymógł to na swej pannie, że z nim i z nią razem do owego Zapatana się wykradła potajemnie z domu, że ztamtąd z wielką trwogą powróciła, i że ztamtąd ciągle jakoby w gorączkowej fantazyi się znajdowała, aż w ową śmiertelną niemoc wpadła. Piastunka stara opowiadać miała, że się odbywały przy tej okazyi jakieś straszne zaklęcia i przeróżne gusła, że panienka jej w źwierciadło jakoweś czarne spojrzała i zaraz zemdlała i że ją bez życia prawie napowrót do domu chyłkiem a potajemnie odwieziono. Wiem też, że radzono ojcu biednemu, aby o to instygacyę uczynił a bezbożnego kryminału tego wszelką siłą *juris* dochodził, ale on rozgłosu już żadnego czynić, a ludzkim językom materyi do przeróżnych plotek dawać nie chciał i sprawy tej zaniechał.

Pan generał Korytowski ze mną i z audytorem w komissyi krygsrechtowej do chorego Aksamickiego chodził, aby owej tajemnicy stra-

sznej czynić dochodzenie, ale od tego odstąpić musieliśmy, bo biedny mój towarzysz był ciągle w gorączkowem obłąkaniu. Opuściło go ono, ale tuż przed śmiercią samą; umarł przytomnie i przykładnie, jak na dobrego katolika przystało, jako iż takim był zawsze, ową nieszczęsną znajomość z cudzoziemcem wyjąwszy. Pochowaliśmy go z honorami wojskowemi w trzy dni po pogrzebie jego panny — a tak ja żałością srogą i ciężkim frasunkiem garnizon mój nieszczęsny we Lwowie *Anno Domini* 1766 rozpocząłem, bo że nieszczęsny był aż do końca, tego się z dalszego ciągu narracyi mojej dowiecie. Przyszedłem do tego miasta z wesołem sercem i otuchą, a opuściłem je z srogą afflikcyą a prawie z desperacyą, o czem kiedyś mowa będzie...

Jakoś w kilka dni po pogrzebie Aksamickiego, dobrze już nad wieczorem, przybiega do mnie Zawejda, cały blady a kroplistym potem oblany i nic nie mówiąc, siada na krześle, sapiąc tylko jakby po wielkiem zmęczeniu. Pytam go coby mu było? a on na to:

— Rotmistrzu, za złe mi nie miej, ale może masz w domu płyn jakowy krzepiący, coś tak na podreperowanie serca, bo mi nie dobrze... Kieliszek wina teraz tobym i od ciężkiego wroga przyjął...

Dałem mu wina, a on łyknąwszy haust spory, odsapnął raz jeszcze, popatrzył na mnie i rzekł:

— Widziałem Zapatana!...

Wymówiwszy to słowo przeżegnał się i znowu urwał. Myślałem, że ów szalbierz i awanturnik zamorski we Lwowie już się nigdy nie pojawi, więc też rozciekawiła mnie ta wiadomość, i pytam Zawejdy, jak i gdzie to było? Zawejda znowu wypił kieliszek wina, jakby na dnie jego swady szukał i tak się ozwał:

— Dzisiaj po południu spotkałem go koło starościńskiego zamku. Jechała czarna kanalia w swojej czarnej kolebce, swemi czarnemi końmi, z swym czarnym murzynem, bo ten bies w ludzkiej postaci z piekielnej masztalerni cały ma ekwipaż... Przypomniała mi się Rawa, a potem i ten biedny Aksamicki, niechaj mu Bóg miłościw tam będzie! Owo rzekłem do siebie: „Słuchaj Zawejda, będziesz hetka pętelka, jak mu to płazem puścisz!" A trzeba ci wiezieć Mości rotmistrzu, żem już dawno myślał o tem, aby temu czarnemu szelmie w łeb palnąć, a tam go posłać, zkąd jest rodem, to jest do kwatery Belzebuba.

— Mości Zawejdo — rzeknę mu z niechęcią — zawsze Waćpanu fantazya jakiś głupi koncept przyniesie!

— Nie był głupi koncept Mości rotmistrzu, choć się nie udał. Tylko wysluchaj, proszę. Wiedziałem że to nie człowiek jak my wszyscy, ale charakternik, co z szatanem jest w aliansie, więc tedy wziąłem się na sposób. Ulałem umyślnie nową kulę na święconej pszenicy, bo musisz wiedzieć Mości rotmistrzu, że w charakternika tylko takowa kula ugodzi, a żadnej innej niecnota się nie boi. Każdy kompańczyk na Siczy jest takim charakternikiem, bywało pal w niego jak w jasną świecę, kula jak groch o ścianę. Ale jak sobie ostatnim razem, na hajdamactwo idąc, ulałem kule na święconej pszenicy, tom strzelał kampańczyki jak bekasy. Owoż i tym razem tak zrobiłem, i tak ulaną kulą nabiłem sobie pistolet na tego Zapatana...

— I strzeliłeś Waćpan do niego? — poderwałem niecierpliwie.

— Dajże mi mówić spokojnie. rotmistrzu — odpowiedział Zawejda — a dowiesz się o wszystkiem powoli. Kiedy tak widzę koło zamku tę czarną kanalię jadącą, zachodzę koniom drogę, rozkrzyżowuję ręce obie, a że nie wiedziałem, jakim chrześciańskim językiem mam się tłumaczyć przed niecnotą, więc zażywam wszelkich, o jakich gdzie tylko słyszałem:

— Hola Mościpanie! *Halt — werda* Stój! *Arretez! ecoutez! Sta viator*! Chwilkę na ustęp, Mospano Zapatano, *Conte Signore*!

On na to się uśmiechnął po swojemu, wyskoczył z powozu, przystąpił do mnie i jakowymś językiem pół kocim pół baranim zaszwargotał. Ja mu na to:

— *Non intelligo, nix verstand, non capisco kompram pam nier*, nie rozumiem Waszeci.

Tedy on do mnie po polsku, ale tak jakby olejki przedawał, z kiepska po węgiersku. Z tego poznałem zaraz, że to nie jest djabeł we własnej osobie, bo powiadają, że jak się zdarzy djabeł, to *perfecte* po polsku mówi, jak szlachcic.

— Czego chcesz Waćpan — mówi mi tedy.

Ja mu na to:

— Jestem Zacharyasz Łada Zawejda, porucznik gwardyi konnej Jego królewskiej Mości. Mam sobie Aspana za bajbardzo i za hetkę pętelkę, i mocno sobie tego życzę, abym Waćpanu w łeb strzelił, Mospano Zapatano. Mości *conte*, proszę do kąta, pift! paff! to będzie za Rawę i za mego kamrata Aksamickiego!

— Chociażem nie lingwista — plótł dalej Zawejda — toć przecie przyznasz mi Mości rotmistrzu, żem się dokumentnie i zrozumiale tłumaczył, żeby i Turek był zrozumiał. Jakoż i on dowiedział się czego chcę, i dal znak forysiowi, aby sobie pojechał. Potem wziął mię pod rękę, i nic nie mówiąc, iść począł. Szedł niby wolnym krokiem i jakby spacerem, a przecie tak szybko, żem prawie kłusem darł, aby mu kroku dotrzymać, i aż mnie pot oblał kroplisty i tchu mi zabrakło. Tak mnie szelma wywiódł aż daleko za miasto, het aż na janowskie błonia. Tu stanął, odpiął pendent od szpady, wziął za jeden koniec, drugi mnie dał do ręki, popatrzył na mnie z uśmiechem swym szpetnym, i zawołał:

— Strzelaj Waćpan!

Ja do niego:

— Waćpanu pierwszeństwo. Strzelaj Waćpan.

— Ja nie chcę i nie będę — mówi on na to — strzelaj panie oficerze pierwszy, na długość tego pendentu i to na moją komendę, jak powiem raz, dwa, trzy!

Certowałem się jeszcze, ale on nogą tupnął niecierpliwie, spojrzał na mnie tak groźnie a przenikliwie, jakby mnie na wylot chciał spojrzeniem swem przeszyć, i mówił:

— Pocóż mnie Waćpan wołałeś? Strzelaj mi zaraz. Baczność! Raz! dwa! trzy!

Pendent był krótki jak każdy pendent; biorąc Zapatana na cel, ledwiem się jego piersi nie dotknął, ale on jak na dziecko śmiejąc się na mnie patrzał. Na komendę trzy! palnąłem mu wprost w głowę; dym się rozszedł, patrzę, a ten czarny bies stoi jak stał i śmieje się, jak się śmiał przedtem!....
Cóż ty na to, Mości rotmistrzu?

— Co ja na to? — rzeknę — oto skonfundowałeś się Waćpan, ręka Waćpanu drżała, i wyszło z tego pudło!

— Rotmistrzu! rotmistrzu! — zawołał obrażony Zawejda — a już chyba z przekory a nie z racyi tak mi mówisz. Ja i pudło? ja, co najcelniej strzelam w chorągwi? Na trzy kroki i pudło! Kula na święconej pszenicy lana, i pudło! Gdyby to nie był aljant piekielny i dubeltowy charakternik, jużby dlań z pewnością było po ostatnim capsztrychu; aniby był drgnął po strzale!

— I cóż potem było? — pytam Zawejdy.

— Potem Zapatan wyrwał mi z rąk pendent i rzekł:

— Nie umiesz Waćpan strzelać; ja potrafię lepiej. Stójże Waćpan na miejscu i ani mi się rusz, bo teraz moja kolej!

— Stałem jak przybity, rezygnując się na śmierć pewną. Westchnąłem do Boga, duszę mu swoją grzeszną rekomendując, i czekam. On idzie odemnie i idzie, oddala się najmniej na jakich sześćdziesiąt kroków, staje, zwraca się ku mnie i mówi:

— Pokażę teraz Waćpanu, jak ja strzelam! Zdejmę Waćpanu trzeci guzik od galonka przy kapeluszu, abyś po mnie zachował pamiątkę!

I jak strzeli, kula gwizdnęła mi nad czupryną, brzękła o guzik, i owo patrz rotmistrzu, patrz, bo nie widziawszy, wiary byś nie dał, oto jak ugodził w cel ten Zapatan!

Tu Zawejda podał mi swój kapelusz, i istotnie przekonałem się, że guzik od uderzenia kuli cały spłaszczony był i tak wbity w kapelusz, że aż w sukno się wgniótł i dziurę wywiercił....

— I cóż Waćpan teraz na to, Mości rotmistrzu? — rzecze Zawejda.

— Ja mu na to chyba powiem, że Waćpan strzelać nie umiesz, a on umie, i nic więcej.

Zawejda jakby przez zemstę za te moje słowa, wypił mi całą resztę wina, otarł usta, westchnął, wąs wykręcił i salutowawszy wyszedł, nie mogąc mi tego darować, że tę jego historyę tak sobie lekko brałem. Po tem opowiadaniu Zawejdy kilka dni nic o Zapatanie nie słyszałem, i zdawało mi się, że go już we Lwowie nie masz. Tymczasem raz jeszcze widzieć go widziałem.

Coś we dwa tygodnie po świętach wielkanocnych zachciało się szlachcie, której siła pod on czas było we Lwowie, wyprawić maszkaradę. Reduty jeszcze były we Lwowie nowością, i cisnął się do nich kto mógł, a bywało i z dalekich okolic szlachcic wiózł na takowy lusztyk żonę i córki dorosłe, nie mówiąc już o mie-

szczanach i mieszczkach bogatych, którym pod maską przystęp bywał także wolny. Zapusty tego roku były krótkie, więc odłożono sobie jeszcze jedną redutę na czas poświąteczny. Campioni, Włoch jeden, który był u Tomatisa w Warszawie przy operze, zjechał był umyślnie na to do Lwowa, aby takie reduty urządzać. Pozwolono mu w pałacu Jabłonowskich jednej dużej sali i pokojów obszernych kilka w dodatku, i tam tedy odbywać się miała owa reduta.

Owoż był zwyczaj, aby, na takiej maszkaradzie, że to była hulanka pełna swawoli, a raj prawdziwy dla rozpustników, elegantów i kartowników, i że obok uczciwych osób siła gawiedzi i figur najgorszej konduity pod maską na nią się garnęło, aby mówię trzymaną była straż wojskowa, i aby sam komendant garnizonu miał inspekcyę na sali. Mnie to trafiło, bo gdy mnie pan generał na takiego wyznaczył, więc na owej maszkaradzie służbę odbywać musiałem.

Napatrzyłem się tych redut w Warszawie, a dawniej jeszcze w Berlinie, ale przyznać muszę, że reduta lwowska nie ustępowała tamtym, bo i gości był natłok ogromny, i przeróżnych strojów, kostumeryj, a przedziwnych i kunsztownych maszkar moc wielka. Stałem na środku sali, po kątach i sąsiednich pokojach oficerów i unteroficerów kilku ustawiwszy, aby skoro się jaki tumult gdzie uczyni, excessanta na świeże powietrze lub na hauptwach wywieść zaraz. Kiedy tak stoję, widzę naraz, że przez tłum gości przeciska się Zapatan. Bez maski był, w zwykłym swym czarnym stroju, z owym ogromnym brylantem, i przy szpadzie. Trzeba wiedzieć, że na maszkaradę nie wolno było nikomu wchodzić z bronią żadną przy boku, z wyjątkiem służbowych oficerów — więc też rozgniewało mnie to, że ten hrabia Zapatan, który przecież zwyczajów takich świadom być powinien, ze szpadą się tędy kręci. Zmierzam tedy ku niemu, aby mu to grzecznym kształtem wymówić i o odpasanie szpady poprosić — kiedy tuż koło siebie widzę znowu dwóch ludzi zamaskowanych, całkiem czarno ubranych, a także ze szpadami. Wołam z kąta unteroficera i posyłam go do straży, aby jej raz jeszcze surowy nakaz przypomniał, że przy szpadzie nikogo wpuszczać nie ma.

Owi dwaj czarno ubrani i maskowani nieznajomi kręcili się po sali jakby szukali kogo, i nagle zwrócili się wprost ku miejscu, gdzie był Zapatan. Stał on do nich plecyma odwrócony i patrzył na zgiełk maszkarowy swemi złowrogiemi oczyma, czasem w zwyczajny swój sposób się uśmiechając, gdy nagle jedna z owych dwóch masek dłoń mu na ramię położyła. Zapatan odwrócił się, i widziałem, jak twarz jego, choć zawsze bardzo blada była, teraz pobielała jak kreda. Jeden z maskowanych nieznajomych coś przemówił i rękę ku niemu wyciągnął — a Zapatan w tejże chwili w tył odskoczył z widocznem przerażeniem na twarzy, i prawą rękę szybko na rękojeść szpady położył, jakoby jej dobyć i bronić się zamierzał....

Myślałem, że przyjdzie do jakiej awantury, i prędko ku owym trzem poszedłem, nim wszakże przez tłum się przecisnąć mogłem ujrzałem, jak dwaj zamaskowani ludzie Zapatana pod ramiona wziąwszy, ku wyjściu go wiedli. On szedł ze spuszczonemi oczyma, z mocno zaciśniętemi usty, i jakby z desperacyą na twarzy. Choć zgiełk i ścisk w sali był wielki, owi dwaj nieznajomi z dziwną łatwością rum sobie czynili, bo im się wszyscy ustępowali, ze zdziwieniem na nich patrząc. Tak mi zniknęli u wyjścia. Kontent byłem, żem się ich z sali pozbył, a szpady im odbierać lub aresztować nie potrzebował. Stanąłem sobie koło okna, z którego można było widzieć owe domostwo, w którem zakwaterował się Zapatan, i spojrzalem na dwór. Noc była ciemna, a z oświetlonej sali trudno było coś ujrzeć zdało mi się jednak jakbym na wzgórzu między staremi drzewami, co tam rosły, widział trzy ciemne postacie, dążące szybko ku opuszczonemu domostwu.

Zdjęty ciekawością przyłożyłem twarz do okna, i patrzyć bystro począłem, ale ledwie dostrzedz mogłem kwaterę Zapatana, której okna nie były oświetlone. Nagle jednak, w jednej chwili, cały dom błysnął światłem jaskrawem i silnem, tak jakby wewnątrz domostwa wielki fajerwerk zapalono. Z wszystkich okien uderzyło światło mieniące się, to jakoby krwawej barwy, to znowu żółte, a takie silne i gwałtowne, że aż oczy raziło. Otworzyłem okienko i słyszałem okropny huk, trzask i syk, odzywający się z domu Zapatana, tak jakby race pękały, a wszystkie ściany i wiązania się waliły.... Z przerażeniem na to patrzyłem gdy nagle zagrzmiał huk tak straszliwy i okrutny, jakoby piorun tuż nad uchem

mi uderzył, i zaraz też wszystkie szyby w sali redutowej z wielkim brzękiem a łoskotem popękały. Ujrzałem tylko ogromny płomień strzelający w górę, a potem nagle ucichło i ciemność wszystko pokryła....

Między publiką w sali wszczął się na odgłos blizkiego huku i na ten brzęk okien, hałas i lament okrutny; poczęto krzyczeć w trwodze: „pali się, wali się!!" — i nuż kobiety mdleć, mężczyźni krzyczeć, a wszyscy z desperacyą do drzwi cisnąć się poczną. Widząc że wielkie nieszczęście być może i że się ludzie mizernie poduszą, skoczyłem na stół i z całej siły zawołałem

— Nie bójcie się! Nie ma strachu! To cekauz w powietrze wyleciał!

Na to moje wołanie odważniejsi zaraz się zreflektowali i drugich uspokojać poczęli, i tak się trochę ten tumult ułożył, choć się bez drobnych szwanków nie obeszło. Ja zaś z Zawejdą gwałtem z gołemi szpadami prawie rum sobie robiąc, wybiegliśmy z sali, a wziąwszy z sobą połowę straży, na miejsce tego niepojętego wypadku pospieszyli. Ledwośmy na miejscu stanęli a już prawie większa połowa publiki z reduty za nami wybiegła, aby zobaczyć, co się stało.

Straszliwy widok zniszczenia tu zastaliśmy. Ze starego domostwa czy cekauzu nic nie pozostało, prócz ogromnej kupy gruzów. Tak to wyglądało, jakby dom ten wraz z fundamentami rzucony został w całości do góry, a padając znowu na ziemię w drobne gruzy się rozbił. Cegła na cegle, kamień na kamieniu nie pozostał — ale co dziwna, dach cały jakby kapelusz, o kilkadziesiąt kroków dalej został rzucony... Zaraz mnie uderzył zapach i gęsty dym prochu, tak że nie miałem żadnej wątpliwości, że dom wysadzony został miną w powietrze.

Ta okrutna eksplozya przerwała całą zabawę na maszkaradzie, a na drugi dzień o niczem nie mówiono, jeno o tym straszliwym wypadku. Na gruzach czyniono poszukiwania, ale nie znaleziono ani trupów, ani żadnego członka ludzkiego, jak się tego spodziewałem, bo byłem pewny, że wszyscy owi trzej w powietrze wylecieli. Było o to dochodzenie i starościńskie i nasze wojskowe, i spisywano rozmaite indagacye. Jakoż wydało się z zeznań jednego unterceugwarta od artyleryi, który dawniej miał nadzór nad cekauzem, nim go sobie ów Zapatan kwaterą wynajął, że w piwnicy tego domu żyd pewien brodzki, co proch do kamienieckiej fortecy liwerował, cały kamień prochu był złożył, o której to amunicyi albo zgoła nie wiedziano, albo zapomniano. Jak się zaś stało, że ta eksplozya nastąpiła, kto ją spowodował? czy przypadek? czy nieostrożność czy też wola umyślna? co się stało z Zapatanem i owymi dwoma nieznajomymi? — tego nikt nie doszedł i to już na zawsze pozostało tajemnicą....

We dwa dni jakoś po tym wypadku siedziałem wieczorem w mojej kwaterze, pisząc list do rodziny mojej, bo mi się dobra sposobność zdarzała. Nie było nikogo więcej w izbie prócz psa, którego mi we Lwowie darowano. Pies ten (Pożar się nazywał), ogromnych był proporcyj, z rasy najlepszych brytanów. Był tak wielkiej siły, że chłopca na ziemię powalał, a tak odważny i posłuszny, że w piekło byłby skoczył, gdybym tylko krzyknął: Pożar, weź!! Kiedy tak siedzę, słyszę ciągle, że pies mój bardzo nie spokojny, to skacze to skomle, a na miejscu utrzymać się nie może. Zdziwiło mnie to, więc przestałem pisać, a począłem obserwować psa, coby mu było. Widzę tedy, jak mój Pożar z rozpalonemi oczyma patrzy w kąt izby, pod kantorek co tam stał, ale z daleka, i jakby do skoku się nasadzał, ale snać odwagi nie ma, bo ciągle to skomle mizernie. Ciekaw bardzo, coby to być mogło, wstaję ze stołka, przystępuję do psa i wołam:

— Pożar, weź! Huż-ha!

Porwało się psisko w okrutnym skoku i wprost pod kantorek sadzi, ale znowu staje i warczy. W tem zakrakało coś głuchym i ochrypłym tonem z pod kantorka, i usłyszałem wyraźnie:

— *Arrabet! Zapatan! Metatran!*

Poznałem zaraz ten głos, choć był bardzo słaby, cichy i jakoby żałośny, ale w zdumieniu mojem pojąć nie mogłem, zkądby się tu nagle w kwaterze mojej wziął ów kruk duży, którego w Rawie przy Zapatanie widziałem! Myślałem przez chwilę, że mnie uszy zwodzą, ale wnet po raz wtóry słyszę to samo żałośne wołanie: *Arathran! Arabet*! Pożar mój, kiedy owo wołanie dziwne usłyszał, począł wściekle szczekać a rwać się, a warczeć i skomleć, że go za obrożę chwycić i zatrzymać musiałem. Na ten wrzask wbiegł do izby mój wyrostek, który mi czyścił mundur w pobocznym alkierzu.

— Franaszek! — wołam na wyrostka — chodźno trzymać psa, bo coś tu jest pod kantorkiem.

— A to kruk, panie rotmistrzu! — mówi Franaszek.

— Co za kruk? zkąd się wziął tutaj?

— To proszę pana rotmistrza — rzecze wyrostek — na pogorzelisku tego domu, co to w powietrze wyleciał, znalazłem tę czarną bęstyę gadającą. Strasznie to biedactwo było popalone a pokaleczone, a tak jęczało, stękało i lamentowało, jakby człowiek, że mi się żal stało, tom go wziął tu, panie rotmistrzu!

Rzekłszy to położył się na ziemię i wyciągnął z pod kantorka kruka, który miał pióra osmalone, a tak mizernie wyglądał jakby lada chwila miał zginąć. Miałem jakiś przesąd przeciw tej brzydkiej czarnej poczwarze, a to dla tego, że należała do Zapatana i że jakieś niezrozumiałe a dziwaczne wykrzykiwała słowa, o których zaręczyć nie mogłem, czy też nie są jakiem szpetnem a bezbożnem bluźnierstwem, ale wstręt mój pokonałem, bo mnie litość zbierała nad nędznem, rozbitem stworzeniem, i dla tego też nie kazałem go już wyrzucać i nie łajałem o to chłopca, że mi takiego nieproszonego gościa w dom sprowadził. Owo ni ztąd ni zowąd przyszedłem do spuścizny po Zapatanie!....

Był ten kruk u mnie przez kilka dni, a choć mi Zawejda głowę suszył abym tego „piekielnego kanarka, którego sam Belzebub swojej narzeczonej w prezencie pewno dał" (tak poczciwy Zawejda mówił), coprędzej w ogień rzucił, kark mu przedtem ukręciwszy — tom przecież pozwolił wyrostkowi memu, aby ptaka karmił a pielęgnował. Ale za kilka dni kruk zupełnie już był zdrów, zuchwale sobie poczynał, spać mi nie dawał, ciągle krzycząc i śmiejąc się; a Pożarowi tak wrzaskiem swym imponował, że psisko przed nim respekt miało jak przedemną. Chciałem się go pozbyć koniecznie, i postanowiłem pierwszemu lepszemu go darować, ktoby tylko wziąść chciał — bo mi za dużo już było tego krzyku i tego chichotu przykrego, którym mnie ta dziwna bestya nocami traktowała. Inaczej się jednak stało.

Raz późnym już bardzo wieczorem rachunki chorągwi mojej zestawiałem, a Franaszek przy kominie pistolety czyścił, kiedy nagle coś o szyby zadzwoniło.

— Ktoś puka, panie, do okna! — mówi Franaszek.

Myślałem że to wiatr, ale chłopak mój woła znowu:

— Panie rotmistrzu, zagląda ktoś do okna!

Wstaję tedy od moich rachunków, chcąc podejść ku oknu, gdy tu naraz kruk zerwie się z kąta skrzydłami pocznie trzepać jakby w wielkiej radości, i wołać po swojemu, ale przeraźliwiej niż bywało:

— Arrabet! Zapatan!

I wlatując z tym wrzaskiem z ziemi, rzucił się kruk ku oknu z wielkim impetem, szybę z brzękiem głośnym wysadził, i za oknem w ciemności przepadł.... Wybiegliśmy z wyrostkiem na podwórze, ale nikogo nie widzieliśmy, a kruka ani śladu nie było. Tylko mój Pożar z wściekłem szczekaniem wyskoczył, chwilę ujadał, a nagle skomląc powrócił, drżąc cały i do nóg moich się tuląc....

Na tem się ta cała dziwna przygoda skończyła — i nikt z niej tajemnicy nie zdjął, choć domysłów i przeróżnych kombinacyj siła o niej było.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CZY JADŁ ASAN PIERNIKI W KOŚCIELE?

Już nie wielu żyje z tych uczniów gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, którzyby pamiętali dyrektora Sztoca. Był to poczciwy, szanowny człowiek którego gimnazyaści bardzo kochali. Miał on zabawną przygodę z własnym synem, który nie chciał być ostatnim w płataniu figli.

Razu pewnego zaszła skarga, że Teodor, syn dyrektora, jadł pierniki w kościele. Było to grube przewinienie, dla tego sprawa wyto-

czyła się przed dyrektora. Wezwał on syna do swego pokoju i tak doń przemówił: „Czy jadł asan pierniki w kościele?" — „Nie jadłem, panie dyrektorze, to ten cenzor taki zażarty na mnie, że mu nie dałem, a więc skarży." — „Słuchaj asan, przecież są świadkowie, co widzieli, że asan jadłeś pierniki w kościele, po co się tedy zapierać." — „Nie, panie dyrektorze, ja nie jadłem pierników."

Daremne były zabiegi dyrektora, aby zniewolić winowajcę do wypowiedzenia prawdy. Widząc Sztoc że w ten sposób nie wydobędzie wyznania, zaczyna z innej beczki. Wstaje tedy z swego krzesła, podchodzi do syna, głaszcze go po twarzy i mówi: „Ależ mój Teodorku, wszak jadłeś pierniki! Kiedy nie chcesz mi tego wyznać jako dyrektorowi, to wyznaj jako ojcu. A więc powiedz mi prawdę." — „No tak, ojcze kochany, niechcący włożyłem kawałeczek piernika w usta, za co mocno przepraszam."

Ucieszony dyrektor wraca z powagą do krzesła, zasiada i mówi uroczyście. „A więc asan przyznajesz się do winy, że jadłeś pierniki w kościele!"

„Nie jadłem, proszę pana dyrektora", była odpowiedź."

„A przecież sam przed chwilą się przyznałeś."

„Tak prawda, że się przyznałem, ale ojcu, a nie dyrektorowi, i myślę, że ojciec nic dyrektorowi nie powie o tem, boby to nie było ładnie."

Cóż miał biedny dyrektor i ojciec zrobić?

KARPIE.

Wincenty stary rybak miał blizko swojej chatki sadzawkę napełnioną świeżo ułowionymi karpiami, które od czasu do czasu kładł w sporą baryłkę i wysyłał do poblizkiego miasta na sprzedaż, przez swojego pomocnika Grzegorza.

Jednego dnia Grzegorz ukradł w sadzawce należącej do zamku prześlicznego karpia i wsunął potajemnie do baryłki z rybami Wincentego, aby go sprzedać w mieście na własną korzyść. Ale gdy przyszedł do plenipotenta zamkowego, gdzie często nosił ryby, żona jego ujrzawszy karpia, zawołała natychmiast:

— Ach! ten karp skradziony w dworskim stawie! zaraz go poznałam!

Daremnie się Grzegorz zapierał; nietylko że mu nie zapłacono, ale jeszcze musiał odsiedzieć dwa dni aresztu za kradzież.

Wkrótce potem znowu mu się udało schwytać w pańskiej sadzawce karpia, którego wraz z innemi rybami zaniósł do nadleśnego, ale i ten zaledwie zajrzał do baryłki, zawołał.

— Oho tego karpia skradłeś mojemu panu!

Grzegorz znowu został uwięziony na trzy dni o chlebie i wodzie.

Jednakże mimo dwukrotnej kary, uparty złodziej chciał jeszcze popróbować szczęścia. Po raz trzeci zatem skradł w zamkowej sadzawce ogromnego karpia, lecz zamiast do znajomych, zaniósł go na targ, będąc pewnym, że tam nikt nie pozna ani ryby, ani jego samego i że w miasteczku nikt wiedzieć nie może o jego niegodziwych sprawach. Ale strażnik placu targowego, który się ciągle przechadzał między straganami rybaków, zaledwie rzucił okiem na Grzegorzowego karpia, krzyknął na całe gardło:

— To ryba kradziona!

Winowajca struchlał, tymczasem strażnik ująwszy go za kołnierz, zaprowadził do policyi, gdzie oprócz należytej kary cielesnej, osądzono go na pół roku więzienia.

Tam dopiero żałując zapóźno swojego występku, Grzegorz mówił do siebie:

Jestem ukarany słusznie, ale nie mogę wyjść z podziwienia, jakim sposobem każdy mógł poznać odrazu, że te karpie kradzione?...

Otóż powiem wam kochane dzieci, na czem się zasadzała tajemnica tego odkrycia. Intendent zamku zarybiając młodemi karpiami stawy dziedzica, ucinał im zawsze cząstkę ogona. Zaufane osoby wiedziały o tem, ale kto nie wiedział, niepodobna aby na pierwszy rzut oka mógł dostrzedz taki niepokaźny znaczek.

Dla tego też Grzegorz daremnie nałamawszy sobie głowę, aby odkryć tajemnicę, którą uważał za cud, zawołał na wpół z płaczem:

— Bądź cobądź, z tego wszystkiego o tem się tylko dowiedziałem, że kiedy kradzież jest grzechem, nie trzeba obrażać nią Pana Boga i krzywdzić bliźniego.

Złodzieja zawsze złapią, choć w swą zręczność wierzy,
Choć się skryje i niby niczego nie lęka;
Lada drobnostka zdoła dowieść mu kradzieży,
Bo do wykrycia prawdy wiedzie Bozka ręka.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

— Przychodzę z rozkazu sir Williama Mowbray, — rzekł rządzca, siadając na ławie dębowej, która stanowiła najcelniejszy sprzęt izby.

— A czegoż ten waryat chce odemnie? — zawołał Will ponuro, — myśli może, czy jego zbiegła małżonka tu się nie ukrywa, lub dziedzic stracony? Będzie ich długo szukał niezawodnie, nim znajdzie, — dodał z złowieszczym uśmiechem.

— Jestem tego mniemania, Will, że sumienie twoje ci powie, dla czego tu jestem przysłany, — mówił rządzca spokojnie.

Will Sideler począł pogwizdywać.

— Dla tego, aby ci oznajmić, — ciągnął dalej master Johnstone podwójnie obrażony tem lekceważącem przyjęciem i grubiaństwem, zastosowanem do nieszczęść baroneta, — że nie jesteś już więcej nadzorcą królikarni.

Pierwszym ruchem Willa Sidelera było zerwać się od stołu przy którym siedział, i podnieść nad głowę drzewce strzelby, którą trzymał w ręku. Master Johnstone cofnął się, winszując sobie w duchu przedsięwziętej przezorności. Ale niebezpieczeństwo jeśli istniało, to tylko krótką chwilę, gdyż Will z gwałtownem natężeniem uchamował swoją wściekłość i tylko uśmiechnął się gorzko.

— Więc już nie jestem królikarzem! — powtórzył, — ha, cóż robić, dobrze i tak! spodziewam się, że się jeszcze znajdzie zarobek w świecie, gdy się ma ręce zdrowe i chęć do pracy. Sir William jest panem w swoich obszarach, ziemia do niego należy, równie jak drzewa i króliki... nawet niewolnicy, którzy uprawiają rolę, — dodał z wejrzeniem wzgardy, — trudno się sprzeciwiać jego woli, gdyby mi nawet dał umrzeć z głodu.

— To nie jego w tem wina.

— A nie, bez wątpienia.

— Ani też moja.

— O zapewne! tyś był zawsze moim przyjacielem, master Johnstone; nigdy nie zapomniałeś dobre słowo za mną przemówić, kiedy drudzy na mnie skargi zanosili. Wiem dokładnie, ile panu zawdzięczam. Jestem człowiekiem rzetelnym, master Johnstone, i kiedyś dług mój spłacę...

— No, no, dosyć tego Will, — przemówił jeden z gajowych, chłop zwinny i barczysty, — to nie tak się powinno mówić. Po twojem ponurem wejrzeniu, po tych wyrazach szorstkich, możnaby wnioskować, że myślisz kogo zabić.

Na to słowo *zabić*, Sideler zaczerwieniony poprzednio ze złości pobladł straszliwie, i przez chwilę zdawał się walczyć z wrzącemi namiętnościami swojego porywczego usposobienia.

— Przykro to przecie, rzekł nareszcie głosem spokojniejszym, — przykro to w moim wieku, być wygnanym w świat, aby szukać kawałka chleba!

— Ta to i prawda, — odparł gajowy, — zaczynając litować się nad jego niedolą, — ale wszak ci to nie wina pana Johnstone.

Will uśmiechnął się niedowierzająco.

— Swojej własnej nieostrożności niech to przypisze, — rzekł rządzca. — Jeżeli ze swej siedziby chce robić miejsce schadzki dla tych, którzy spiskują na życie i pomyślność rodziny baroneta, i knują podstępy, by zniweczyć jego zamiary...

— A jak to pan wiesz? — zapytał Sideler patrząc na niego podejrzliwie. — Niepotrzebne to pytanie; podsłuchałeś pode drzwiami, bez wątpienia?... Chciałbym cię złapać na tem, nic więcej.

Tym razem Will omylił się w domysłach. Sir William był uwiadomiony przez starego Marcina, któremu Joe Beans opowiedział ową nocną przygodę.

Od chwili, jak rządzca wyjawił Willowi powód odprawy ze służby, Sideler nie czynił już wyrzutów ani pogróżek. Tylko w kątach ust jego dostrzedz się dawał uśmiech wstrzymywany widocznie, a master Johnstone, nie wiedząc sam dla czego, żałował, że mu dał to wyjaśnienie.

— A kiedyż mam odejść? — rzekł Will. — Ale pocóż się pytam? Domyśleć się łatwo, że jestem wypędzony z chaty jak lis z nory, inaczej utraconoby połowę przyjemności. A więc, jestem gotów!

— O nie; możesz zostać jeszcze jeden lub dwa dni; sir William nie odmawia ci chwilowego schronienia.

— Godzina lub dwie wystarczą mi, abym się wyniósł, — mruknął za zębami, uśmiechając się ponuro, — nie chcę zawdzięczać ani jednego noclegu gościnności waszego dobrego pana, ani twojej. Biedni niewiele mają do zabrania z sobą, gdy się ich wypędzi z siedliska!

Na to wspomnienie ubóztwa, uśmiechnęli się gajowi. Znając jego oszczędne życie przez długie lata dozoru w królikarni, wiedzieli że Will musiał sobie sporo zebrać grosza.

— Zostawię wam klucz jak będę przez wieś przechodził dziś wieczór. Nie boisz się pan, abym przypadkiem nie zabrał z sobą starych ścian?

— Zapewne, że nie, Will, — odparł rządzca, — i aby ci dowieść, że tylko twoje postępowanie zmusiło sir Williama tak się z tobą obejść surowo, polecił mi, abym ci wypłacił całoroczne zasługi, gdy oddasz klucze.

— A któż ma być na moje miejsce przyjęty?

Johnstone pokręcił głową. Nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć.

Zaledwie odeszli niemili goście, były dozorca królikarni zerwał się ze stołka i zasunął wewnątrz drzwi swojego domku. Pozostawszy sam, puścił wodze wstrzymywanej długo w swojem sercu wściekłości, i najstraszniejszemi przekleństwy miotał na swojego pana. Tyran i waryat, takie były najłagodniejsze przezwiska, któremi go zaszczycał. Gdy przedłużające się cienie na podłodze zapowiadały blizki zachód słońca, zaczął robić przygotowania do wydalenia się z domku. Najpierwej zdjął ze ściany torbę myśliwską i włożył w nią niektóre potrzebne przedmioty. Potem zapalił lampę, i choć jeszcze dzień był jasny, pozamykał starannie okiennice.

Przekonawszy się, że żadne wejrzenie ciekawe nie może dośledzić co czynił, Will Sideler przetrząsając jakiś czas w jednym zakątku izby, wydobył obcęgi żelazne, i zaczął podnosić kamień tworzący ognisko. Choć silny, musiał się dobrze natężać, nim go wyciągnął. Płyta wywróciła się na bok z głuchym łoskotem, gasząc swoim ciężarem kilka głowni, które jeszcze tlały na kominku.

— Oto już zgaszony ogień! — zawołał smutnym głosem, — Pan Bóg wie, gdzie i kiedy rozpalę domowe ognisko! Gdyby nie sir William, miałbym dzisiaj wesoły domek, żonę kochającą, dzieci któreby się ze mną pieściły, dodając mi słodkie imię ojca!... Ba! stary wilk zaczyna coś pleść nie do rzeczy! — dodał z szyderczym uśmiechem; gdybym ich miał nawet, nie byłyby mnie nigdy kochały! nigdy! urodziłem się na to aby w samotności żyć i umierać!

W gorzkiem uczuciu swego osamotnienia, zapomniał nieszczęsny, że temu wszystkiemu jego własna niegodziwość winną była.

Zaczął gwizdać, jakby dla odsunięcia swych dumań, i ukląkł obok kryjówki właśnie co otworzonej, i wydobył z niej worek ze skóry łosiowej nie wyprawnej, dobrze pieniędzmi napełniony, i paczkę listów. Gdy je wziął w rękę, wypadł z pomiędzy nich mały zwitek papieru; podjął go, rozwinął i ujrzał pukiel włosów. Od wielu lat już ich nie oglądał; przywiodły mu one pamięć czasu dawno ubiegłego i uczucia serca nie tak jeszcze przewrotnego.

— Biedna dziewczyna! szepnął z westchnieniem. — Z tem wszystkiem, może to było szczęściem dla ciebie! Jak olbrzym zgniótłby śnieżycę, którąby chciał zerwać, tak i mój żelazny charakter byłby cię przygniótł swem brzemieniem!

To mówiąc, włożył zwój listów i uzbierany grosz w głąb torby, i w godzinę później opuścił to miejsce nie zapomniawszy jednak wstąpić dla odebrania całorocznych zasług, o których mu rządzca wspomniał.

Czas też, abyśmy zobaczyli, co się dzieje z ranionym w Bungalore-Hall. Utrata krwi przerwała gorączkę i skutki odurzającego napoju, zadanego mu przez Khana, i drugiego dnia lekarze oświadczyli, że wyszedł z niebezpieczeństwa.

Bóle fizyczne były niczem w porównaniu z moralnemi katuszami, jakie dręczyły wyniosły umysł Indyanina. W swej dumie najdotkliwiej został raniony i wił się na łóżku jak wąż zgnieciony, nie mogący już zrobić nic złego. Tysiąc razy przeklinał rękę, która pierwszy raz w życiu chybiła celu, a zwycięztwo współzalotnika sprawiło mu nieznośną męczarnię.

Khan go nie odstępował, ale choć Miran przyjmował jego posługi, widocznie jakieś niedowierzanie wkradło się pomiędzy nich. Indyanin miał niejasne podejrzenie, że mu starzec jakiegoś figla zdradliwego wypłatał; ale zastanawiając się głębiej nad tą myślą, odpychał ją jako niepodobną do prawdy, jako całkiem niemożliwą; wszelako ciągle mu się nasuwała.

Wyszedłszy z pokoju Mirana dla odetchnienia świeżem powietrzem, Khan spotkł Willa Sideler, który mu opowiedział, jak został odprawiony ze służby.

Renegat dał mu sakiewkę z pieniędzmi w przekonaniu, że tym sposobem uprzedza tylko zamiary swojego młodego pana, obdarzając człowieka, który utracił miejsce w skutek oddanej Indyaninowi usługi.

— A jakże się on miewa? zapytał Will chowając otrzymane złoto.

— Lepiej mu już, znacznie lepiej.

— Gdyby wiedział to, cobym mu mógł powiedzieć, możeby zupełnie wyzdrowiał...

— A cóż takiego masz mu do powiedzenia?

— To moja tajemnica. Zrób tylko, abym się z nim mógł rozmówić, a jeżeli mu się na nic nie przydam, to więcej nie wierzcie Willowi Sideler.

Khan wachał się cokolwiek; uważał, że za równo niebezpiecznie było odmówić jego żądaniu, jak przystać na nie; bo jeżeli ten łotr miał silne postanowienie widzenia się z Miranem, to Khan mógłby tylko opóźnić tę chwilę, ale nie zdołałby jej całkowicie niemożebnem uczynić.

— I czegoż się obawiasz? — zapytał były królikarz, spoglądając nań badawczo i podejrzliwie. — Teraz mnie rozumiesz; mówisz dobrą angielszczyzną i opowiadano mi, że kiedy twój młody pan zranionym został, odzyskałeś naraz świadomość angielskiego języka; gdy tymczasem owej nocy, w mojej chacie, nie umiałeś mówić inaczej jak twem obcem narzeczem. Hm! — mruknął, — może ja jeszcze znajdę klucz do twej tajemnicy! Podejrzywam ja już wiele rzeczy, o których gdzieindziej wcale nie myślą nawet.

— Czy doprawdy! W takim razie, dobrze uczynisz zachowując te domysły dla siebie samego.

— A to dla czego?

— Bo znajdują się ludzie, którzyby sobie tak mało co z tego robili, uprzątując cię z drogi, jak jabym nie wiele się namyślał, by zgnieść gadzinę, którąby mi się nawinęła pod nogi.

— Ty jesteś jednym z takich ludzi, nieprawdaż?

— A tak, przyznaję się!

— A jakże byś tego dokonał? — zapytał Sideler z dzikiem wejrzeniem. — Zdaje mi się, że moje ramię nie mniej silne od twojego, oko równie bystre a ręka dosyć żylasta... Czy chcesz spróbować?

— Niepotrzebowałbym ruszyć cię, ani dotknąć ręką, aby cię zgnębić,—rzekł renegat z pogardą.—Udałbym się tylko do najbliższego urzędnika i doniósłbym mu, że temu lat dwadzieścia pięć, Will Sideler widziany był nad brzegiem strumienia, tuż przy przedgórzu Carrow, w blasku księżyca, w towarzystwie szalonej dziewczyny, która go kochała, zwierzyła się mu... i została uwiedzioną.

— Szatanie! — szepnął zbójca.

— I że sam ztamtąd wrócił! Powiedziałbym także, aby kopano w gruzach starej kaplicy, i że...

— Milcz! — zawołał nędznik padając na kolana, przerażony tem nagłem wyjawieniem, — bądź już cicho, a będę na twoje rozkazy, jakiekolwiek by one były... Wiem, żem wpadł w moc szatana! dodał płacząc ze zdumieniem

i grozą, — dręczył mnie przez długie lata w samotnej chacie w dolinie... a teraz dopomina się o moją duszę!

— To bardzo być może!

— Ale muszę się przekonać! chcę, aby mi nie została żadna wątpliwość! Gdyby nawet uszy moje ogłuchnąć miały od tego dźwięku, wzywam cię abyś wymówił nazwisko tej...

— Maryi Franklin?

— To djabeł! zawołał Will podnosząc się żywo; to musi być djabeł! Otóż w końcu złapany jestem!

— Twym własnym przestrachem! głupcze! jestem śmiertelnik tak jak ty!

Nędznik zgnębiony, wyciągnął rękę by dotknąć się Khana, jakby dla przekonania się czy to istotnie człowiek z ciała i kości.

— Ach to prawda! prawda! rzekł wtedy.

— A teraz, wejdź ze mną do domu, kiedy sobie tego życzysz. Jeżeli Miran-Hafaz zechce się z tobą widzieć, zaprowadzę cię do jego pokoju; jeżeli nie, to musisz natychmiast ztąd odejść.

— Przystaję na to. A nie zdradzisz mnie?

— Szaleńcze! Gdybym miał ten zamiar, myślisz, żebym cię o tem uprzedzał? Nie, moje kroki są ciche jak chód sprawiedliwości. Jak jej ramię, tak i moje jest żelazne; a ciosy, które zadaję, są śmiertelne!

I nie oglądając się, czy Sideler za nim postępuje, odwrócił się od niego i udał się do Bungalore-Hall.

XXXI.

Wchodząc do komnaty Indyanina, Khan uwiadomił go o spotkaniu się z Willem Sideler w parku willi Bungalore-Hall, odprawieniu go ze służby przez sir Williama Mowbray, i o jego życzeniu pomówienia z Miranem.

Przyprowadź go tutaj natychmiast! — zawołał Miran z żywością, — i powiedz pułkownikowi Mowbray, żeby do mnie przyszedł.

Rozkaz ten dany był w takim tonie, że nie było co na to odpowiedzieć. Khan wyszedł z wielką niechęcią, przewidując, że schadzka tych trzech ludzi straszne pociągnie za sobą skutki. Wiedział o tem, że chociaż jego wychowanek nie był zdolny popełnić pospolitą zbrodnię, jednak namiętność, zazdrość i pycha obrażona mogłyby pobudzić go do najgroźniejszych zamachów. Charakter popędliwy tego młodzieńca był tego rodzaju, że gotów on był niekiedy z pochyloną głową rzucić się w otchłań bezdenną, lecz nie wpaść nigdy w nikczemną zasadzkę.

— Tak to zawsze się dzieje, — rzekł sam do siebie, — zaledwo chęć zemsty wkradnie się do serca, szatan, który ją natchnął, stawia pod rękę narzędzie do nasycenia tej namiętności!

Wkrótce Khan wrócił z Willem Sidelerem. Uczucie zdumienia i przestrachu, wzbudzone ponuremi wspomnieniami przeszłości przez Khana, ustąpiły przed wyrazem chytrości i zadowolenia widocznego na twarzy królikarza, skoro się znalazł w obecności Indyanina, którego hojności kilkakrotnie miał dowody. Uważał go tak, jak awanturnicy kopalnię złota u nóg ich leżącą.

— I jakże! przynosisz mi jakie wieści od Zary? — przemówił Miran.

Te słowa zdziwiły renegata; nie wiedział on, że Will do tego stopnia posiadał zaufanie jego wychowanka.

Królikarz rzucił przelotne spojrzenie wprzód na rannego, potem na jego sędziwego sługę. Indyanin domyślił się, że Will chce z nim w cztery oczy pomówić.

— Idź zawołać mi pułkownika, — rzekł do renegata, — a jak przyjdzie, zostaniesz w przedpokoju na końcu korytarza, i dopilnujesz, aby nam nikt nie przerwał rozmowy.

Khan uśmiechnął się z goryczą wychodząc z komnaty; przekonał się, że ten młodzian, którego jak własne dziecko pielęgnował i miłował od lat najmłodszych, nie ma już w nim zaufania żadnego. Bardzo to nieroztropnie było ze strony Mirana, że zrywał ostatnie węzły, które go łączyły z jego mentorem.

— No, teraz gadaj, co masz za wiadomości? — rzekł młodzieniec do starego nędznika.

Ten wydobył z kieszeni papier okryty gęstem pismem wschodniem; był to list od Zary. Przebiegając te wyrazy, oczy Mirana ciskały błyskawice, i wił się na swem łożu jak zraniona pantera.

— Kiedy otrzymałeś ten bilet? — zapytał z zaciśniętemi zębami.

— Na godzinę pierwej nim mnie rządzca przyszedł zawiadomić, żebym opuścił dworek. Straciłem miejsce, mieszkanie, a wszystko za to, żem wyświadczył wam usługę, panu i pułkownikowi Mowbray.

— Znajdę zajęcie dla ciebie. Nie ścierpiałbym aby psu, który mi rękę lizał, brakło strawy, a tem mniej człowiekowi, który mi był usłużny. — Will się uśmiechnął, przeczuwał, jakie to będzie zajęcie, o którem mu młodzieniec wspomniał, i rozradował się w duszy, obiecując sobie zaspokoić jednę z najsilniejszych namiętności, zemstę.

W tej chwili pułkownik wszedł do komnaty; w obliczu jego zdradzało się pomięszanie, gdy się spotkał z wejrżeniem królikarza.

— Ty tutaj? — wymówił.

— A gdzież pan chcesz abym poszedł? — odparł łotr z wyrazem dzikości. — Zostałem wypędzony z chaty przez tego waryata, brata pańskiego; wypchnęli mnie za drzwi jak psa nieużytecznego, a to wszystko przez was.

— Może zdradziłeś?

— Ani słowa, — przerwał Will odpowiadając raczej na przestraszone spojrzenie niż na wyrazy pułkownika; — potargano by mi prędzej wszystkie członki nimby ze mnie słowo wydobyto. Jestem wierny jak stal dla tych co mnie zaszczycą swem zaufaniem!

Z pospiechem, który gniew jeszcze ożywił, Miran opowiedział swemu sprzymierzeńcowi, że William Mowbray nie tylko zezwolił na przyszły związek siostrzenicy z jej podłym kochankiem, ale nadto wyrobił dla niego u ministra posadę przy poselstwie u dworu Neapolitańskiego, że sprowadził z miasta notaryusza aby zrobić testament, i że po trzech dniach Henryk Ashton i Walter Mowbray mają razem udać się w drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TRZY PRZYJACIÓŁKI.

Powiastka.

Znaną jest powszechnie owa piękna myśl Napoleona, która przywiodła go do uczynienia zakładu wychowania dla córek owych walecznych wojskowych, którzy za krew wylaną w wojnach jego, znakiem honoru piersi swoje ozdobili. Długo we wszystkiem szczęśliwy Cesarz Francuzów, upatrzył godną naczelniczkę tak pięknej instytucyi. Była to sławna pani Campan. Światła, znająca świat i ludzi, a nadewszystko rozsądna i czuła, zdawała się być matką wychowanek swoich i najpiękniejsze cnoty zaszczepiać w ich sercu umiała. Starała się zwłaszcza jednoczyć je wzajemnem przywiązaniem zastępując tym sposobem rodzinne i domowe związki, których pozbawione były.

Panowała przeto między wychowankami zakładu legii honorowej przyjaźń niemal powszechna, była ona tak żywą i czystą, iż równoważyła majątek i imię, boć te młode gałązki lubo należały wszystkie do szlachetnego szczepu obrońców ojczyzny, nie były przecież równe sobie co do tytułów i bogactw. — Ale szczęśliwsza od sławy ojców przyjaźń dzieci nie znała różnicy stopni. Córka porucznika zwała słodkim imieniem siostry córkę jenerała, dziedziczka bogatego marszałka Francyi miała za najmilszą towarzyszkę sierotę po prostym żołnierzu. Napoleon zachęcał tę równość. Kiedy odwiedzał Ecouen, a odwiedzał go często, witał zarówno córki walecznych; bez względu na stopnie i majątek ojców, wszystkie dziećmi swemi mianował. Znachodząc w wdzięcznej pamięci swojej owe szczęśliwe wyrazy, które prosto szły do duszy, mówił jednej z wychowanek: „Twój ojciec był ze mną w czasie przejścia góry Ś. Bernarda, bił się już dwanaście godzin ciągle, kiedym mu powiedział: „Odejdź." — „Nie mogę, jenerale, urwaną mam nogę." — „Bądź tyle dobra, ile on był waleczny." Do drugiej wychowanki tak przemawiał: „Ciesz się, córko, ojca twego mianowałem pułkownikiem na polu bitwy." Innym często nic nie powiedział, ale przyciskał je do serca, a kiedy spostrzegł niedawną sierotę nieraz zapłakał. —

Między temi wychowankami zebranemi ze wszystkich stref świata były trzy, których przyjaźń wzajemna weszła w przysłowie, nawet w zakła-

dzie, gdzie nałogiem była przyjaźń. Zwano je: Marya, Klarysa, Hortensya. Marya była córką ubogiego podporucznika, który wzrok stracił od ręcznego wystrzału; Klarysa były jedynaczką jednego z jenerałów zbogaconych nagle wojną, a Hortensya trzecia przyjaciółka należała do świetniejszej jeszcze rodziny.

Nie wiem, czy trzy przyjaciółki najlepiej uczyły się w zakładzie, ale tak równym krokiem postępowały w naukach, że w corocznem rozdawaniu nagród zawsze ich imiona ogłaszał razem wielki kanclerz legii honorowej, i razem się nachylały przed Jozefiną dla odebrania z rąk jej jednakowych wieńców. Ale w czasie kiedy rzęsiste oklaski pochwalały tryumf Klarysy i Hortensyi, w kącie wielkiej sali była jedna osoba, która nie klaskała, — nie mogła — bo zasłaniała dłonią spłakane oczy. Była to matka Maryi. Mimo ubóztwa swego przyjeżdżała corocznie z dalekiej prowincyi na ten dzień do Ecouen, a potem na cały rok miała czem pocieszać i rezweselać ociemniałego ojca.

Lat kilka tak minęło, przyjaźń młodych wychowanek wraz z niemi rosła. Nareszcie przyszła chwila rozstania. Marya rozpoczęła tę smutną kolej, matka jej umarła, ojciec ślepy i smutny potrzebował córki. W ostatni wieczór przed jej wyjazdem, trzy przyjaciółki poszły do ogrodu, a rozmawiając płakały. „Przysiężmy sobie — powiedziała nareszcie Klarysa, która także wkrótce rzucić miała Ecouen ale dla zabaw Paryża — przysiężny sobie, że cokolwiek bądź z nami się stanie, byleśmy nie pomarły, zejdziemy się wszystkie trzy u głównej bramy Tuileryi od dziś za lat dziesięć, o tej samej godzinie, o szóstej." — „Zgoda!" — krzyknęły dwie drugie — a Hortensya spostrzegłszy jednego z młodych ogrodniczków zawołała: Jerzy bądź świadkiem naszej wzajemnej przysięgi: „My, Hortensya, Klarysa i Marya przysięgamy, jako od dziś za lat dziesięć o tej samej godzinie, każda z nas, jeśli będzie przy życiu, stawić się nie omieszka u głównej bramy Tuileryi, w Paryżu."

I Marya opuściła Ecouen.

W trzy miesiące potem Klarysa wystąpiła i poszła za mąż. Nie minęło roku, odebrano także Hortensyę z rąk pani Campan. —

Dziesięć lat! — dziesięć lat mija prędko zwłaszcza dla tych, którzy jak Klarysa powołani są do wielkiej świetności. Mówiono w całym Paryżu o zamożności domu, o dobrym guście uczt i zabaw, o niesłychanym przepychu, jakim ją otaczał mąż jej, jeden z najbogatszych bankierów Europy.

Jeżeli dziesięć lat krótką są chwilą w życiu kobiety majętnej, czemże wydawać się muszą dla takiej wielkiej pani, na jaką wyszła Hortensya? Ona nietylko złoto, ale honory, tytuły, zaszczyty zjednoczyła.

Co się zaś tyczy ubogiej Maryi, nie musiała ona mieć zapewne ani majątku, ani godności. Ojca ślepego pilnować i bawić, czytać mu, przechadzać się z nim po słońcu w dnie pogodne, takie były bez wątpienia jej rozrywki.

Mijał tedy dla każdej z trzech przyjaciółek rok za rokiem, choć może dla każdej inaczej, i przyszedł nakoniec nietylko rok dziesiąty, ale i dzień naznaczony. Była to niedziela wrześniowa. Już ogród Tuileryjski zasłany był żółtym liściem, który z drzew jego prędzej, niż z innych opada. — Już tylko dziesięć minut do szóstej, a jeszcze nie ma nikogo. Już tylko pięć — nikogo. — Czyż przyjaźń mogłaby nie mieć pamięci? albo czyż pomarły przyjaciółki?

Ale nie. Szósta bije, i zajeżdża kareta angielska, cztery konie u niej, lokaj w sutej barwie drzwiczki odmyka.

Pani młoda, ślicznie ubrana, wysiada i ogląda się na wszystkie strony. Wszyscy obecni przypatrują jej się ciekawie. Jestto Marya, uboga Marya, córka ociemniałego porucznika. Jakaż cudowna zmiana zaszła w jej losie? Oto rzecz cała:

Dziesięć lat mija prędko, ale wiele odmian za sobą przynosi. Cesarstwo Napoleona runęło. Burbonowie za powrotem oddali rodzinie Maryi dawne jej majątki; bogata a skromna poszła dobrze za mąż i równie szczęśliwą jest żoną, jak dobrą była córką. —

Ale kiedy Marya ciągle szuka i patrzy naokoło, kobieta jakaś której nędzę zaledwo ochędóztwo odzieży ukryć może, kłania jej się z uszanowaniem i zbliża się do niej nieśmiało. Marya rzuca się na szyję Klarysy. Klarysa córka jenerała, żona bankiera, do zbytków przyzwyczajona, zniszczoną była do szczętu. Ojciec jej zginął pod Waterloo, mąż zbankrutował i zemknął do Ameryki.

„Opowiesz mi wszystko w moim pałacu — przerwie jej Marya — już mnie nie odstąpisz. Wrócą tak rzeczy, jak dawniej były. W Ecouen

jedna z nas była bogata, przecież wszystko było między nami wspólne i równość zupełna. I dziś tak być musi."

Klarysa już wsiądać miała do powozu Maryi kiedy spojrzawszy obie na siebie zawołały razem: „A Hortensya?"

„Wiesz, czem była?" powie Marya z westchnieniem.

„Wiesz czem jest!" wyrzecze Klarysa łzę ocierając.

W przeciągu tych dziesięciu lat Marya z ubogiej stała się bogatą, majętnej Klarysie na pierwszych brakło potrzebach, a Hortensya chwałę i wielkość swoją opłakiwała na wygnaniu.

„Czy pani nie nazywa się Maryą?"

„Czy pani nie nazywa się Klarysą?"

Takie zapytanie uczynił w tej chwili człowiek zdrów i czerstwy w porządnym ubiorze wyrobnika. Był to ogrodniczek Jerzy; każdej z dwóch przyjaciółek wręczył małą skrzyneczkę i zniknął. —

Klarysa i Marya otworzyły każda swoją.

W jednej było pół złotej korony Hortensyi byłej królowej Holenderskiej, pasierbicy bratowej Napoleona.

W drugiej była druga połowa.

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB

(Ciąg dalszy.)

Maść osobliwa i łatwa do zrobienia na pierś macierzyńską.

Weźmij 1 część wosku białego, 1 część smalcu świeżego wieprzowego, 1 część świeżego masła niesolonego: to wszystko razem roztop na wolnym ogniu, a umięszawszy, schowaj i w potrzebie użyj.

Maść ta rozsmarowana na płótnie lnianem i przyłożona na całą zbolałą pierś macierzyńską, zaraz zmniejsza zapalenie, opuchłość i boleść; pokarm zgrupiony rozrzedza i odejście jego ułatwia. A jeźli się już na kancer zaniosło, tedy zebranie i otworzenie się ułatwia, a otwór czyli ranę samą jak najdokładniej wygaja. Jednak w przypadku zastarzałego zgrupienia się piersi, należy dodać na wierzch przyłożonej maści kataplazm z kaszy tatarczanej, rzadko i krótko w wodzie gotowanej, dla prędszego rozrzedzenia zepsutej materyi.

Także na podłamanie brodawki maść ta skuteczna; rozciera ją się na lnianym płateczku i często przykłada naokoło brodawki.

Maść do gojenia różnych ran także łatwa do zrobienia.

Bierze się 1 część wosku żółtego, 1 część kalafonii i 1 część oliwy czystej; rozgotowawszy na wolnym ogniu, po zamięszaniu, wlewa się w czysty garnuszek i chowa się dla potrzeby.

Maść na zagubienie liszajów i wyrzutów na głowie lub gdzieindziej.

Bierze się ½ uncyi siarki, miałko utartej, i ½ uncyi gęstej śmietany, oboje razem umięszawszy, smaruje się na noc, gdzie potrzeba.

Albo:

Weźmij 12 jaj, ugotuj na twardo i wyjmij same żółtka, te starłszy, przydaj ½ uncyi miry czystej, także zdrobnionej i wsyp w patelkę lub rądelek, smaż tak długo aż całkiem zczernieje; potem wyciskaj olejek i wlewaj we flaszeczkę dla zachowania, a jest on osobliwy na różne wyrzuty przypadkowe, nawet goi i wargi.

Maść trawiąca dzikie mięso, Aegyptiacum zwana.

Weźmij grynszpanu 1 uncyę, potłucz go i wlej na niego octu mocnego pół kwaterki, czekaj aż się rozpuści, a potem przydaj ałunu palonego ¼ uncyi, miodu butelkowego kwaterkę i smaż tak długo, aż nieco zgęstnieje a będzie maść czerwona do trawienia dzikiego mięsa bardzo sposobna, przykładając ją na płatku lnianym.

Sposób robienia wody na oczy, kiedy puchną lub świerzbią, która nawet łuszczki dokładnie spędza.

Wziąść garnek polewany nowy i nieużywany, wywarzyć go wodą czystą, nalać weń powtórnie czystej wody zdrojowej i przystawić do ognia, aby się dobrze zagotowała a gdy przestygnie i para z niej wyjdzie, wziąść takiej 2 kwarty do butli i wsypać do niej 4 uncye utłuczonego Vitriolum album i 4 uncye utłuczonej Sal Prunella i ¼ uncyi kamfory, także zdrobionej, i obwiązać, a po kilku dniach, jak się te proszki dobrze rozpuszczą, tedy przez czystą chustkę przecedzić i wlać do flaszy dobrze zakorkowawszy.

Taka woda da się konserwować przez kilka lat. Na bolące oko wpuszcza się po dwie krople, idąc spać, bo gdy rano się zakrapia oczy, tedy na wiatr nie można wychodzić. Po upływie łez, gdy oczy będą nieco świerzbieć, strzedz się tarcia takowych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)